

Moshe Landau
Podróż z Tel Avivu do Krakowa:
obecność przeszłości

Na początek parę słów na temat tytułu...

Urodziłem się w Tel Avivie, a symbolizm i znaczenie Tel Avivu nie jest takie samo jak Jerozolimy. Jerozolima ma znaczenie, wartość i ciężar - religijne, historyczne i mitologiczne i transcendentne dla ludzi, którzy w niej żyją. Znaczenie Tel Avivu jest bardziej świeckie, ahistoryczne, i niemal całkowicie zanurzone w teraźniejszości, indywidualistyczne. Chcę powiedzieć, że przyjeżdżając teraz tutaj, czuję potrzebę mówienia we własnym imieniu, wypowiedzenia swojej wewnętrznej podróży, a równocześnie opowiedzenia o dziedzictwie ciężaru mojej rodziny, żyjącej w Krakowie przez stulecia.

Historia:

Moi rodzice urodzili się w Krakowie. Ojciec wyemigrował do Palestyny (teraz Izrael) w 1929 r. jako pionier emigracji syjonistycznej, a w 1935 r. wrócił do Krakowa, ożenił się z moją matką i oboje, tego samego roku wyjechali do Palestyny, aby tam żyć. Niemal cała moja rodzina, około 250 osób zginęła w Holokauście. Otrzymałem imię po dziadku ojczystym, który został zamordowany w Krakowie.

Moje najwcześniejsze wspomnienia: siedzenie przy radiodbiorniku i słuchanie programu poświęconemu poszukiwaniu zaginionych krewnych. Pamiętam siedzenie przy aparacie, w napięciu, zawsze koło południa, i epizody wybuchu łez i krzyku, jak mniemam - mojej matki. Co jakiś czas krewni pojawiali się, ludzie, których nie znałem, ubrani w obce, nieznanne mi rzeczy. Uściski, łzy. Nie mogłem zrozumieć o co chodzi. Było w tym coś jeszcze, coś budzącego lęk, ale byłem od tego daleki, nie mogłem tego pojąć. Nikt mi nic nie mówił. A ja przestałem zadawać pytania. Ci, którzy przyszli "stamtąd" byli dziwni. Dzieci śmiesznie ubrane, obce, nie jak my, Izraelczycy. Naśmiewaliśmy się z nich. Nie ośmielałem się zbliżyć, było wokół nich coś z innego świata.

Czasem podchodziłem do nich, dzieci ze smutnym spojrzeniem, nieobecnym, grzebiących w śmieciach. Szeptaly, że mają na ramieniu niebieski numer. Co to było? Nie pytaliśmy. Były niepokojące w swojej obcości. Czasem straszylimy je a one uciekały, żeby nie dać się złapać i zabrać "tam".

Znacznie później, mój nieżyjący już przyjaciel Yossi Hadar napisał o nich książkę "Yotzke". Pisał tak, jakby były z nami nadal. Mogłem czuć ich oddech tuż obok, i jak stoją skamieniałe lękiem. Były chore. Stracone. Mówiły do siebie. Yossi pisał, że musiały uciec, lub były "stamtąd" przysłane na krótkie wakacje. Ze szpitala, z innej planety (Jechiel Dinor).

Kiedy Yossi zmarł w 1997 r. kilka razy recytowałem publicznie jego wiersz, który silnie do mnie przemawiał i poruszał mnie głęboko. Zrazu myślałem, że to ze względu na Niego. Lecz patrząc wstecz zdaję sobie sprawę, że był to znak, że moja podróż do Krakowa została rozpoczęta.

Yossi Hadar

"ŁĄCZYMY SIĘ I ROZŁĄCZAMY"

Łączymy się i rozłączamy, trzydzieści i czterdzieści. Metrept sichl.

Ojciec wziął mnie abym to usłyszał.

Kantor recytował krótką modlitwę,
ludzie żegnali się,
brali pamiętniki i płakali w domach.
To było bardzo trudne.
Dlaczego odchodzimy, ponieważ musimy.
Trudna pamięć wybucha.
Przebija się. Dziura.
Wszystko łączy się z rzeczami cielesnymi.
Melebt2. Danke gut.
Zdają się uśmiechać, tylko zdają się.
Ale Theresienstadt to nie Jerusalem.
Nie możesz śpiewać pieśni tęsknoty.

W dzieciństwie "przyjąłem" emocjonalny punkt widzenia, że musimy być inni. Silni. Nikt nie powie nam na rzeź. Nie będą dość dobrzy w walce. Moi bohaterowie i bohaterowie mojego pokolenia byli bohaterami Powstania w Getcie Warszawskim - Mordechai Anielewicz, Edelman, inni.

Ale oni byli tam. My byliśmy odmienni, my mieliśmy bohaterów Ziemi Izraela - Palmach³, Jigal Alon⁴, Icchak Sadeh⁵, bohaterów Wojny o Niepodległość, bohaterów którzy walczyli z Brytyjczykami itd. Oni byli ukochanymi modelami, naśladowani, utożsamialiśmy się z nimi, nowi Żydzi, Izraelczycy.

Nie mogłem myśleć o "tam" jak o czymś ludzkim, czymś co wywołuje współczucie. Nie można było o nich w ogóle myśleć. Oni, jakby, nie istnieli. To co się z nimi stało było niepojęte. Tak przerażające, że nie istnieli.

Czułem, że moi rodzice także przybyli stamtąd. Byłem dumny z ojca, bo był pionierem syjonizmu, bo walczył w Haganie⁶, ale nie mogłem znieść, że matka i ojciec rozmawiali ze sobą po polsku lub w jidysz, że należeli do Galut, Uchodźców. Izrael mówił po hebrajsku. Czułem do pewnego stopnia pogardę dla matki czytającej gazety polskie, i wstyd, że nie umiała czytać hebrajskiego. Wewnętrzny opór wobec ich języka, języka uchodźców spowodował, że nie nauczyłem się polskiego ani jidysz, ani słowa.

Kiedy nadchodziły główne święta żydowskie garstka ocalałych członków rodziny zbierała się razem a czasem byliśmy tylko my. Pamiętam, że jako chłopiec modliłem się, żeby odnalazł się jakiś krewny, którego nie spotkałem, żeby mógł z nami zasiąść. Żebyśmy byli większą rodziną.

Z latami wiele podróżowałem po Europie, także wschodniej Europie i Niemczech. Podróż do Niemiec wywołuje w mojej pamięci bolesne doświadczenie, i nigdy tam nie wróciłem. Polska była jednak "poza biegunem". Mogła nie istnieć. Bezimienny kraj, odmienna planeta. Miejsce, gdzie wydarzyło się niemożliwe. To, co wzbudzało przerażenie, wściekłość i nienawiść. Jako chłopiec słyszałem opowieść ciotki, która po wojnie wróciła do Polski z Rosji i nieomal nie została zamordowana przez Polaków. Nie mogłem tego znieść. Dla mnie Polska została wymazana z mapy.

Świadomie połączyłem utratę i brak rodziny, z tęsknotą za rodziną "stamtąd", kiedy mój syn się żenił. Ślub odbywał się w ogrodzie domu mojej córki; była już matką dwojga dzieci, moich wnuków.

Rankiem w dniu ślubu zdałem sobie sprawę z tego, że nie zaprosiłem dr.A., który był czymś w rodzaju mojego duchowego ojca, kiedy pracowałem w szpitalu. Był Żydem z Gola, diaspory, a mimo tego traktowałem go jako innego niż Żydzi z Diaspory. Była między nami specyficzna bliskość, podobna do tej, jaką opisuje się między talmudycznym uczonym a jego ulubionym uczniem. Był bardzo żydowski, lecz zaciekawialiśmy się wzajemnie. Później dowiedziałem się, że wyczuwał we mnie poszukiwanie mądrego, wykształconego Żyda

środkowoeuropejskiego, bardziej niż typowego Izraelskiego "bohatera". Zawstydzilem się swoim zapomnieniem. Równocześnie zapomniałem i pamiętałem.

Wtedy, przed okiem mojego umysłu pojawiły się, szeregami, postaci dorosłych, mężczyzn i kobiet, jakby w pochodzie sylwetek, członków mojej rodziny, dziadków i babek, wujów i ciotek, kuzynów i krewnych, ściskających i całujących z życzeniami Mazel tow⁷.

Wybuchnąłem płaczem i płakałem tego ranka długo. Zdałem sobie nagle sprawę z tego, że czuję ich nieobecność, nieobecność członków mojej rozległej, nigdy nie poznanej rodziny. Z mojej wielkiej tęsknoty za nimi i ich bolesnej nieobecności. To był początek mojej świadomej podróży do Krakowa.

Na rok przed przyjazdem do Krakowa zacząłem sobie tę podróż wyobrażać. Widziałem siebie idącego dzielnicą żydowską,

w piątkowy wieczór, świece sabatowe płonące w oknach, ich ruchome płomienie oświetlające mi drogę. Idę do domu babki na ceremonie powitania Sabatu, a inni Żydzi mijają mnie w drodze z szul (synagogi)⁸ po Sabatowej modlitwie. Wchodzę, dom jest pełen światła, dziadek i babka, stryjowie i ciotki, ich dzieci obejmują mnie, szczęśliwi, że przyszedłem i życzą mi "Szabat Szalom"⁹. Rozmawiam z nimi w jidysz o ziemi Izraela. Jest jak w 1935 r., kiedy mój ojciec wrócił do Krakowa aby się ożenić. Dziadek wypowiada Kidusz¹⁰ (błogosławieństwo) nad winem i rozkoszuje się zapachami dochodzącymi z kuchni do pokoju. Następnego dnia, w sobotę Sabatu obchodzę wujów, których nigdy nie poznałem.

Spędziłem wiele czasu wyobrażając sobie te sceny, siebie w zwykłym cywilnym ubraniu na łonie mojej ortodoksyjnie religijnej rodziny, a wszyscy wiedzą dobrze, że nie poszedłem ich drogą. Te wyobrażone spotkania obudziły we mnie głębokie, poruszające uczucia i pragnienia nigdy nieodczuwane. Równocześnie obawiałem się tych wyobrażonych, sfabrykowanych spotkań tak realnie odczuwanych.

Żywość i bliska obecność tych wyobrażonych spotkań, była dla mnie tak samo silna jak zmarli i ich unicestwienie. Posiadłem sposób przywrócenia utraconego do życia, po prostu odmówiłem wymazania tego na nowo z życia.

Przed wyjazdem do Krakowa poszedłem spotkać się z wujem, bratem matki, jedynym ocalonym, który uciekł z Krakowa przed inwazją nazistowską. W 1939 r w Sądny Dzień wszyscy Żydzi zostali zabrani do kopania rowów, a dozorcujący zabili jednego z nich na oczach wuja. Udało mu się zbiec na rosyjską stronę. Wcielony do Armii Czerwonej przeszedł drogę do Berlina. Natychmiast po wojnie wrócił do Krakowa na pół dnia, odwiedził grób matki, która zmarła, kiedy miał 8 lat,

i nigdy nie wrócił ponownie. W końcu przyłączył się do Żydów próbujących dostać się nielegalnie do Palestyny (ciągle pod protektoratem Brytyjskim), został złapany, osadzony na Cyprze, w końcu przyjechał do Izraela i założył tam rodzinę.

Dla mnie był symbolem żydowskiej historii. Bojownik, który wziął swój los w swoje ręce, nie poddał się, imigrował nielegalnie, przedzierał się przez życie, ożenił się, wychował dzieci i wnuki i żyje nadal (ma 95 lat). Kiedy powiedziałem mu o planowanym wyjeździe nie był zachwycony, chociaż mówił

o Krakowie z wielką tęsknotą. Dał mi adresy domu moich rodziców i innych krewnych a równocześnie mówił "Nic tam dla ciebie nie ma. Nie ma Żydów. Nie ma niczego". I rzucił kilka soczystych przekleństw pod adresem Polaków i antysemitów. Ciężko było jechać bez jego błogosławieństwa, ale byłem zdecydowany. Jego słowa zostały ze mną podczas drogi. Wyczuwałem go i mojego dziadka, razem kiwających głowami i przestrzegających mnie, czuwających, żebym broń Boże nie zachwyił się polską stroną.

Wysiadając z samolotu czułem się osaczony, wystraszony, oczekując, że w każdej chwili ktoś podejdzie mnie aresztować. Gestapo? Polacy? Wieczorem pierwszego dnia konferencji na Kazimierzu wyszedłem w połowie świetnego wykładu żeby odszukać dom mojej rodziny. Był piątkowy wieczór w sercu dzielnicy Żydowskiej. Szukałem sabatowych świec, jakie miałem

w wyobraźni. Miałem ze sobą kamerę i byłem przerażony. Biegałem oczyma w poszukiwaniu znaków żydowskiego życia i nie znajdowałem, ciągle się bałem. Oglądałem się przez ramię czy ktoś nie idzie mnie aresztować. Byłem przecież jednym z ostatnich Żydów w ukryciu. Wiedziałem, że to wyobraźnia, ale nie mogłem się uspokoić i niemal biegiem wróciłem do bezpiecznej Sali konferencyjnej. Wszystko zdawało się być halucynacją. Oto siedzę na tej wartościowej konferencji, udaję, że słucham mądrych i interesujących słów a ciągle czuje się jak ścigany Żyd, kulę się w krześle, żeby być jak najmniej zauważalny, wiedząc jednak, że mój los jest przypieczętowany i że tylko cud może uratować mnie i moją rodzinę.

Tej nocy ledwo spałem a następnego dnia zebraliśmy się w małych grupach, Izraelczycy i Polacy, żeby otwarcie rozmawiać o tym spotkaniu. Bez wcześniejszego przemyślenia zacząłem z emocjami opowiadać o tym, co przeszedłem i co czułem; z mieszaniną wściekłości, nienawiści i gorzkich oskarżeń Polaków. Moi Polscy koledzy siedzieli w milczeniu, zadając tu i ówdzie pytania i słuchając. Byli dla mnie kolektywnym celem, żadnej żydowskiej twarzy między nimi, nieodróżnicowani: nie mówiłem do żadnego określonego, pojedynczego człowieka. Otoczony izraelskimi kolegami, patrząc na nich, tych innych. W ciągu dwóch dni spotykaliśmy się kilkakrotnie. Coś się poruszyło. Padały pytania i odpowiedzi i zacząłem rozróżniać twarze. Stawały się jakie były, "ludzkie". Po raz pierwszy Polak nabierał ludzkich rysów. Nazwa, historia Polski, polsko-żydowska historia, wątpliwości, wina, potrzeba dialogu, a zwłaszcza otwartej rozmowy, z bólem i wrażliwością i pragnieniem zrozumienia. Mogłem czuć, że to jest sposób, jaki uważałem za zdradę. Jeden z uczestników izraelskich powiedział do mnie: "Jeszcze się z nimi zaprzyjaźnisz". Sama możliwość odkrycia czegoś innego niż nienawiść i odrzucenie zmieszała mnie. Ale można było wyczuć podobieństwa, wspólną historię, wspólną pamięć, podobne jedzenie, dźwięki i muzykę znajomego języka, długo wypieranego, angielski mówiony ze znanym akcentem. Niektórzy Polacy jak się okazało mieli w rodzinie Żydów, albo ich rodziny żyły z Żydami po sąsiedzku, znali żydowskie potrawy i żydowskie święta, i tak dalej i tak dalej.

Na początku konferencji powiedziałem jasno, że to moja pierwsza i ostatnia podróż do Polski. Pod koniec dalej tak myślałem, ale coś się zmieniło. Nie można było tego określić, coś na kształt poruszenia emocji, przebudzenia, zmieszanych uczuć, ale nade wszystko postęp w rozeznaniu. Jedzenie, język, wygląd ludzi. Kiedy zamykałem oczy czułem jakbym słyszał i widział moich krewnych w Izraelu. Na ulicy znalazłem bejgle¹¹, jakie lubiłem bardzo w dzieciństwie. Czy wróciłem tam? Tutaj? Gdzie właściwie? Zapachy znajomych dawno zapomnianych potraw znów stały się bliskie, znów smakowały; intonacja mówionego języka w którym słyszałem nuty dzieciństwa; nie zawsze je lubiłem, ale w Krakowie były muzyką ubiegłych lat, tęsknoty za dzieciństwem, za językiem rodziny i bliskiego otoczenia, językiem matki. Za korzeniami odległymi i bliskimi. Za siedemsetletnią uczuciową przynależnością.

Po konferencji był Tydzień Kultury Żydowskiej i w synagodze Izaaka widziałem kilka filmów dokumentalnych o wojennym życiu żydowskim, o łapanekach i gettach, deportacjach do obozów. Były to przerażające sceny. Ludzie wyciągani siłą z domów, przerażone małe dzieci, ładowanie do wagonów - czułem, jakbym oglądał moich krewnych. Poszedłem do getta w Podgórzu, gdzie ojciec i jego rodzina mieli domy. Kiedy przechodziłem mostem na Wiśle miałem głowę pełną obrazów osaczonych Żydów, dzieci w chustkach na głowach, brnących przez śnieg, szukających dokąd pójść. Czułem jakbym tam był z nimi, jakbym był jednym z nich, taki sam. Szedłem przez most i śniłem. Czy tak zginęła rodzina matki, która mieszkała na Kazimierzu? Szedłem i żeby zachować zmysły fotografowałem i mówiłem do siebie. Znalazłem dom. Ogarnęło mnie drżenie, kolana ugięły się pode mną. Staralem się wyobrazić sobie jak wyglądali i zidentyfikować ich na filmie. Czy tam byli? Czy ludzie na filmie byli moimi kuzynami? Z placu Zgody 2, na skraju getta,

naprzeciw apteki? Stojąc przed domem, obok dużego parkingu autobusowego po prawej, zauważyłem napis, przeczytałem i zamarłem z przerażenia. Na tym placu Żydów ładowano do ciężarówek i stąd wywożono do obozów. Czułem, że zemdleję, z trudem stałem na nogach, gdzieś płakało dziecko. Przez głowę przeleciał mi wiersz Bialika o pogromie w Kiszyniowie: "Morderca czyni mord ... i system kwitnie...". Zdecydowałem nie iść dalej w głąb getta. Przerażony powoli zdałem sobie sprawę, że wszedłem w głąb. W każdej chwili ktoś mnie aresztuje. Muszę uciekać. I tak zrobiłem. Musiałem wyglądać dziwnie w oczach przechodniów, ratując życie ucieczką przez most na Kazimierz. Gdzie, dziwnie to, czułem się jakoś w domu. To było miejsce żydowskie. Tu mieli dom dziadkowie ze strony matki. Tu są Żydzi, tu jestem bezpieczny. Jak to możliwe? Żydzi i Polacy spacerowali spokojnie, pili kawę, turyści odwiedzali synagogę Remu, a kilometr stąd działy się okropności. Mimo tego otaczała mnie atmosfera rodzinna. Widziałem Izraelczyków, nawet, jak mi się wydawało Polaków z konferencji, wszystko wydawało się spokojne i bezpieczne.

Odwiedziłem później inne żydowskie strony. Odkryłem dom rodzinny Landau'ów z XIVw. To tam należałem, tu żyli moi przodkowie. Sprzedawca był przyjazny, jakby znał mnie wcześniej. Może też był z Landau'ów?

Jak mówiłem Festiwal Kultury Żydowskiej odbywał się w tygodniu, który obudził moje wspomnienia z dzieciństwa - muzykę, pieśni, modlitwy, pragnienia. Czułem się chwilami szczęśliwy. Nie tylko należałem do zmarłych. Jestem żywy, mam rodzinę, dzieci i wnuki. Jestem też Izraelczykiem i czasem, jak teraz, dumnym z tego. Kontynuuję dynastię, która niemal została wymordowana.

Jednym z najbardziej fascynujących doświadczeń przywiezionych z Krakowa były te grupowe dialogi z Polakami. Były ogromnie poruszające, otwarte i autentyczne. Łączyły ludzi. To co było obce, wściekłe, rażące odmową uznania innego, obróciło się w rozmowę między istotami ludzkimi, szczerymi i pełnymi bólu. Coś stopniało.

To był dialog kontynuowany przez lata, w spotkaniach grupowych tych samych uczestników i drogą mailową.

Po powrocie do Izraela z podnieceniem podsumowywałem to, co wydarzyło mi się w Polsce, to otwarcie czegoś. To nie było tylko spotkanie z umarłymi i unicestwionymi, ale coś otwarło się we mnie, udało mi się wydobyć na światło coś, co leżało w ukryciu i odcięciu. Zaczęłem czytać o przeszłości Polskich Żydów - Evę Hoffman, Jana Grossa, Appelfeld i innych. Mogę powiedzieć sobie: Nie jestem tylko Izraelczykiem, mam także Polski Żydowski składnik. Jestem częścią siedemsetletniej historii i mówią to z dumą. Moje wysuszone korzenie ożyły. Po powrocie do Izraela poszedłem do wuja i opowiedziałem mu szczegółowo wszystko co mi się przydarzyło, jakbyśmy wrócili z tego samego miejsca. Pokazałem mu zdjęcia domu, w którym dorastał, jego szkoły, miejsca gdzie musiał stać sklep jego ojca i inne. Chciał więcej wiedzieć, pytał czy znalazłem grób jego matki, która zmarła gdy miał 8 lat. Szukałem i nie znalazłem. Twarz mu się skurczyła i zapłakał. Opowiedział mi jeszcze raz jak zmarła, jak chodził na jej grób co rano, przed szkołą i lata później po wyzwoleniu Polski kiedy wrócił do Krakowa żeby go odszukać i nie był już potem w Krakowie. Obwinałem się, że nie znalazłem go dla niego, że nie zrobiłem mu tego prezentu na starość, kiedy tak bliski jest śmierci. Czułem też bliskość i więź między nami, więź poszukiwania umarłych i to, że kiedy ich znajdujemy czegoś w naszym życiu przybywa.

Oczywiście wróciłem do Krakowa następnego lata. Chciałem poznać tę inną, polską część siebie. Nie bez poczucia winy nadal szukałem mojej historii I próbowałem odkryć jej kolejne elementy. W wyobraźni przekraczałem imaginowany most łączący żydowskie i chrześcijańskie dzielnice i przechadzałem się ich ulicami. Pozwalałem sobie wyobrazić, co by było, gdyby II Wojna Światowa nie wybuchła. Czy przyjeżdżałbym do Krakowa do

rodziny na święta, spacerował ulicami, przechodził mostem? Jak reagowałbym na antysemickie zachowania? Czy kierowany dumną częścią Izraelczyka we mnie walczyłbym? Czy może poddał się? Gdybym wyrósł w Krakowie - czy przyjęto by mnie na uniwersytet? Czy miałbym polskich przyjaciół? Czy identyfikowałbym się z postacią dr A. - środkowoeuropejskiego Żyda o rozległym wykształceniu i europejskiej kulturze? Czy zasymilowałem się, czy wyemigrował do Izraela jak ojciec? Czy utożsamiałbym się z izraelskością i odciął od żydowskich korzeni?

Zajmowały mnie problemy, którymi nie kłopotalem się wcześniej. Przypomniałem sobie artykuł przyjaciela, który napisał, że izraelskość i izraelski charakter zostały uformowane przez Holokaust, tak, że określa je pozycja schizoparanoidalna - cały świat jest przeciw nam itd. Podczas gdy pozycja depresyjna (w terminach Melanii Klein) cechuje się nie wchodzeniem w wycofanie, i pozwala na tolerancję dwuznaczności i niepewności w spotkaniu z lękami egzystencjalnymi. Czy spotkanie z moimi żydowsko-polskimi i polskimi elementami wiedzie mnie ku dyssolucji, do wątpienia w moją izraelską tożsamość, która bez tego słabnie we mnie? Czy dotarłem do rozdroża?

Jak powiedziałem, wróciłem do Krakowa żeby spotkać mój aspekt żydowsko-polski. To odnowione spotkanie z kulturą żydowską, zwłaszcza z żydowską muzyką ogarnęło mnie w całości. Siedziałem czasem na koncercie bliski łez. Niewidzialne nici, nienazywalne uczucia, nieskończoność czegoś odległego i nieuchwytnego, nuty, duch pieśni, które wcześniej lekceważyłem stały się obecne, żywe i aktualne. Coś co było poza i ponad matką i ojcem, rodzaj zbiorowej archaicznej psyche, rodzaj muzyki, jakiej nie można usłyszeć, ale kiedy nabiera formy, jest bliska. Rodzaj nieuznawanego dążenia, także niewypowiedzianego, jeszcze przed etapem słów. Które został odrąbane i dopiero teraz zaczyna, zdrowieć i odrastać.

Podczas tej wizyty lepiej poznałem moje polskie składniki, nie bez poczucia winy. Siedziałem w kawiarni ... i myślałem co powiedziałby mój dziadek. Po pierwsze to nie było miejsce, gdzie Żyd poszedłby w ogóle. Jak śmiałeś przekroczyć granicę? Nie należysz tu.

Od tego czasu nie opuszczają mnie myśli o granicy i jej przekraczaniu, o tym co dozwolone i niedozwolone, możliwe i niemożliwe.

W jednym z wykładów tego roku obraz mostu wrócił do mnie znowu. Mówiłem o pracy Biona nad cezurą. Bion, brytyjski psychoanalityk, rozważa związki między myślą, uczuciem i intuicją. Teraz stoję na wspólnej, ale zatartej granicy między intuicją a myślą.

W 1926 r. Freud pisał, że istnieje ciągłość między stanem płodowym i wczesnodziecięcym, mimo aktu narodzin, który jest aktem separacji i rozdzielenia. Bion rozciągnął tę ideę odnosząc się tu do cezury jako procesu rozwojowego, który zarówno powoduje separację jak i pozwala na ciągłość między różnymi stanami umysłu. Na przykład między wewnętrznym a zewnętrznym, między świadomym a nieświadomym, między potencjałem rozwojowym a jego realizacją, a także między płodowym i postnatalnym stanem umysłu. Idee te nabrały ostatnio znaczenia

w wyniku obserwacji, badań naukowych i rozwoju teorii klinicznej.

Praca Biona podkreśla ideę połączenia między różnymi częściami osobowości, między podmiotem i innym, oraz w pracy grupy. Zajmuje się również siłami psychicznymi które opierają się i walczą z formowaniem połączeń i powiązań. Dla mnie, idea cezury jest rodzajem metafory ludzkich możliwości lub niemożności, a zwłaszcza złożoności podmiotu w tworzeniu i budowaniu więzi i konfliktów nieodłącznych niekończącemu się procesowi rozwoju.

Chciałbym zwrócić uwagę na miejsce możliwości przejścia i ruchu, miejsca, które jest "pomiędzy", pomiędzy jednym stanem umysłu a drugim. W tym miejscu jest niejasność, złożoność, siły sprzeczne, co trudno jest znieść.

Moim skojarzeniem z metaforą cezury jest obraz mostu. Można myśleć o moście jako

o drodze łączącej przeciwne elementy, jako o czymś czego można użyć aby pokonać rozdzielanie, dystans, przeszkody itd. W równej mierze, jasne jest, że most może też wyznaczać granicę, może być punktem odniesienia, a w czasach wrogości i wojny może rozdzielać państwa. A otwarty most może oznaczać przejście z jednej części do innej. Inaczej mówiąc separacja i powiązanie istnieją obok siebie i na odmiennych poziomach. Most, odcięcie i cezura reprezentują niekończący się proces rozwoju i nie-rozwoju.

Chciałbym teraz przejść do wprowadzenia idei rozwoju relinquishment rozwiniętą przez następcę Biona, Donalda Meltzera. Relinquish - oznacza osłabienie, rozluźnienie, pozabawienie sztywności przy utrzymaniu jasności umysłu. Oznacza też utratę, pozwolenia na odejście, przekształcenie. Meltzer jest przekonany, że w procesie rozwoju, który ma początek w więzi matka-dziecko, obecny jest element "po zwolnienia na odejście" w którym matka i dziecko "relinquish" całkowitą emocjonalną wiedzę o sobie nawzajem. Dziecko nie może "znać" całości psychiki matki, ani matka nie zna całej psychiki dziecka. Normalny rozwój zawiera to wzajemne "relinquishing", tę utratę iluzji omnipotencji. Jest to również proces żałoby.

Meltzer podkreśla nie tylko utratę i żałobę, lecz także możliwość czegoś innego i nowego wyłaniającego się z utraty. Równoległe do utraty, wściekłości i gniewu jest też możliwość odkrycia czegoś nowego, ale ta nowa możliwość łączy się ze zdolnością do dźwignia i cierpienia utraty totalności, do bycia zdolnym "to relinquish" posesywności i absolutnej kontroli nad drugim.

Dla mnie, wiąże się to z metaforą mostu, o której już mówiłem. Emocjonalna możliwość przekraczania mostu jest możliwością znoszenia niepewności związanej z przekraczaniem, rozluźniania uchwytu utrwalonego, znanego i jednoznacznego miejsca, gdzie nienawiść, zaprzeczenie i pogarda dla innego są usprawiedliwione. Nowa możliwość daje nam szansę spotkania czegoś nowego, nowe horyzonty zawierające nieustanne spotkania z bólem i ambiwalencją oraz otwarciem na dialog.

Punkt ostatni. W powieści Austerlitz niemiecko-brytyjski pisarz W.G. Sebald opisuje i identyfikuje los kogoś, kto z wybuchem

II Wojny Światowej został zabrany z Pragi do Anglii. Adoptowany przez brytyjską rodzinę chłopiec jest odcięty od rodziny, w której się urodził, jego tożsamość zostaje zmieniona, i całe dzieciństwo wymazane. Autor z bólem opisuje śmierć psychiczną, wyobcowanie i późniejszy złożony proces poszukiwania nowych więzi ze swoim utraconym dzieciństwem. Jest to fascynująca, skomplikowana książka, i mogę tu tylko przywołać jedną kwestię.

W rozmowie o tej książce z rabinem Danielem Epsteinem z Jerozolimy podniosłem chasydzką ideę odkupienia przez mowę. Autor Austerlitz bardziej niż opisuje, wręcz dokumentuje zmarłych, którzy, przez medium tej książki, nadal żyją (ss. 47-48). Zmarli oczekują od nas odkupienia i tylko my możemy to zrobić za pomocą mowy. Książka jest odkupieniem słów zatrzymanych w milczeniu, nazw wymazanych i zniszczonych. Jest jedynym świadkiem, jakiego żywi mogą znieść. Ich własna, indywidualna mowa.

Dzisiejszy wykład jest dla mnie odkupieniem przez słowa i mówieniem mojej rodziny, która kiedyś żyła w Krakowie.